№ 31. Warszawa, 5 Sierpnia 1910 roku. Rok III.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY I POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową:** Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1. Tel. 97-83.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można codziennie od g. 3 — 5 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Czas odnowić prenumeratę na kwartał III-ci.

OD REDAKCJI.

Ażeby zadosyć uczynić wzrastającym potrzebom naszych czytelników,—zamierzamy rozszerzyć dział naukowy i literacki w *„Społeczeństwie"*, jako też wprowadzić szereg ulepszeń technicznych.

W tym celu powołaliśmy dotychczas **do najbliższego** współpracownictwa pp.: **J. Wł. Dawida, Wacława Nałkowskiego, Ludwika Krzywickiego, Janusza Korczaka, Wacława Makowskiego, Wacława Wróblewskiego, Henryka Lukreca, J. M. Muszkowskiego.**

Druk dzieła **J. Wł. Dawida** p. t. **„Inteligencja, Wola i Zdolność do pracy"** został ukończony; ostatni arkusz dołączamy do numeru niniejszego.

W mniemaniu, że forma książkowa dodatku jest dogodniejsza dla naszych prenumeratorów obecnie wydawać będziemy

Bezpłatny dodatek kwartalny

w objętości 6 — 7 arkuszy druku.

Książki oryginalne i tłumaczone stanowić będą całość jednolitą, obejmującą zagadnienia z dziedziny społecznej, politycznej i literacko-artystycznej — w opracowaniu, odpowiadającem wymaganiom współczesnych metod naukowych. Tym sposobem powstanie serja prac, którą oddamy w ręce czytelników pod ogólnym tytułem

„Społeczeństwo"

Jako pierwszy tom wyjdzie w Październiku praca Edwarda Grabowskiego p. n.

„Prawo Konstytucyjne w Rosji".

(Zarys obowiązującego prawodawstwa).

PROLOG.

Jedno z najciekawszych zjawisk na widnokręgu politycznym można obserwować obecnie w Hiszpanji. Kraj ten, związany konkordatem, zawartym z Watykanem po upadku rewolucji europejskiej 1848 r., utracił samodzielność i od szeregu dziesięcioleci sprzągł swoje życie wewnętrzne z zewnętrzną władzą papieską. W czasach późniejszych, kiedy rozwój instytucji demokratycznych, towarzyszący wzrostowi kultury i bogactw materjalnych w krajach zachodnio - europejskich — ograniczał stopniowo wpływ kościoła na sprawy państwowe — Watykan coraz usilniej strzegł przed sekularyzacją i coraz czulszą opieką otaczał Hiszpanję. Wypędzenie jezuitów ze środkowej Europy, zerwanie konkordatu przez Austrję, rozdział Kościoła i Państwa we Francji—wszystko to odbijało się natychmiast na urządzeniach wewnętrznych w Hiszpanji, gdzie napływ kleru potęgował drogą naturalną władzę panów na Watykanie. Wzrost i przepełnienie klasztorów, uprawiających legalny wyzysk ludności i prowadzących wytwórczość przemysłową — wolną, bo korzystającą z przywileju niepłacenia podatków — i przytem rujnującą przemysł „świecki", płacący podatki za siebie i za przemysł klasztorny — sprowadzał coraz większy ucisk i nędzę materjalną kraju. Na czele państwa stojąca kamaryla dworska, związana duchem i dążeniami z Watykanem, i arystokratyczna kasta oficerska, pośrednicząca w imprezach rozbójniczych rządu i plutokracji hiszpańskiej w Maroko,—stworzyły silną ostoję dla władzy teokratycznej. Wybujała dewocja, granicząca z obłąkaniem religijnem i chytry, przebiegły jezuityzm, wkradający się w życie świeckie od suteryn do poddaszy, rozciągający kontrolę we wszystkich przybytkach oświaty, zarówno—w szkole początkowej jak i w uniwersytecie—uczyniły Hiszpanję najbardziej mrocznym i nieprzystępnym dla prądów nowożytnych zakątkiem Europy.

Obecnie następuje wypowiedzenie konkordatu. Umowa rządzących toreadorów z papieżem, obowiązująca przez pół wieku jedynie z pożytkiem dla duchowieństwa—upada pod naciskiem Hiszpanji oświeconej, kół liberalnych, republikańskich, socjalistycznych i wolnomyślnych, które w roku zeszłym po żywiołowych ruchach w całej niemal Europie z powodu egzekucji nad Ferrerem rozszerzyły sferę swoich wpływów w stolicy i w przemysłowych ośrodkach kraju. Okoliczność ta wpłynęła na stanowczą postawę gabinetu Canalejasa, bardziej trwałego, niż gabinety poprzednie, będące dziełem przypadku i przejściowej zmiany sił politycznych na korzyść bezbarwnych liberałów ministerjalnych. Rząd obecny ukonstytuował się w czasie, kiedy wolnościowa Europa odruchowo żachnęła się po straceniu Ferrera, zas program ministerjalny, zapowiadający szereg podstawowych reform, był ustępstwem nie tylko na rzecz wewnętrznych żywiołów reformistycznych i rewolucyjnych—lecz również zapowiedzią zmian, mających kres położyć barbarji klerykalnej w Hiszpanji. Istotnie, spodziewane stanowcze zerwanie konkordatu z Rzymem, rządzącym państwem świeckiem nie mniej wszechwładnie niż pierwszem lepszem biskupstwem—uważać należy za prolog do nowych dziejów Hiszpanji i za pierwszy z góry idący wysiłek wyzwoleńczy z pod władzy teokratycznej. Jasnem jest jednak, że z drugiej strony zapowiedziane reformy społeczne na rzecz proletarjatu przemysłowego—mają na celu zapobiedz rewolucji z dołu, która jeszcze w roku zeszłym żywiołowo ujawniła się nazewnątrz w gwałtownym ruchu ulicznym w Barcelonie i tylko na czas jakiś spłynęła pod szablami bohaterskich szwoleżerów i gwardzistów.

Bądź co bądź dziś program Canalejasa, wyraźnie zmierzający do zatamowania źródła zła i zacofania umysłowego i społeczno-ekonomicznego Hiszpanji, zjednoczy na razie wszystkie żywioły wolnościowe, które jeśli teraz nie zwyciężą wiekowego „rządu w rządzie",—jednak skutecznie przeciwstawić się zdołają ogromnemu gniazdu szerszeni klerykalnych, poruszonych do żywego śmiałym zamachem na ich przywileje swobodnego wyzysku i legalnego, spokojnego rozboju po wsiach i miastach. Tłumny zlot pensjonarzy i przemysłowców klasztornych, dewotek arystokratycznych i gospodyń księżowskich, francuskich zbiegów w habitach i duchownych fabrykantów benedyktynki i przeróżnego motłochu fanatycznego z wyższych i najniższych sfer społeczeństwa—zapowiedziany na dzień 7 sierpnia pod rezydencją królewską w San-Sebastian z petycją o zaniechanie polityki antyklerykalnej — wobec groźnej postawy zrewolucjonizowanej Barcelony i Madrytu może być zlotem, który jak iskra w prochowni wywołuje wybuch polityczny i wysadza z posad gmach znienawidzonych urządzeń hiszpańskich.

Postać posągowa.

Trzeba stuletnich jubileuszów od dnia narodzin lub śmierci twórców, by oficjalna Polska uznała najlepszych swoich synów, trzeba, by ziemia ciała ich przedtem starła w proch, zanim pospolita Polska poznać mogła swe największe, opiekuńcze duchy. Tak się stało z Mickiewiczem, który w oczach rządzącej Polski uchodził za szaleńca, — z Słowackim, ściganym przez niechęć i zawiść współczesnych, z Towiańskim, nieznanym do dnia dzisiejszego. Jest legjon innych, którzy zginęli w pomroce dziejów popowstaniowych i którzy być może powstaną dopiero w czasach porewolucyjnych, kiedy zawody i klęski narodowe i społeczne coraz częściej każą utkwić wzrok w przeszłości, by szukać wzorów, podobieństw, analogji między historją ubiegłą i historją tworzącą się dziś. Jest zawsze coś ponurego w odgrzebywaniu umarłych. Wyziera pewien tragizm z kości ludzkich, wydobywanych z zapadłych i zapomnianych cmentarzysk. Lecz jakże tragicznem i bolesnem jest odgrzebywanie duchów, niepoznanych za życia, zapomnianych po śmierci. Nazywamy profanacją i szaleństwem odgrzebywanie zwłok. Od takich czynów odwracamy się ze zgrozą. Lecz jak nazwiemy to społeczeństwo, poznające istynktownie dopiero po wydobyciu z prochów zapomnienia swoje własne dzieci, których dotychczas zupełnie nie znało? Kto się od takiej profanacji odwróci ze zgrozą, kto taki czyn określi słowem właściwem?

Odnaleziono Cyprjana Norwida. Powstał mocarz, i społeczeństwo pospieszyło zaliczyć go do szeregu swoich największych. Uczyniono to bez wyrzutu, bez poczucia winy i wstrząśnienia sumień. Nie usłyszano ostrzeżenia, które rozległo się w czasie wskrzeszania nieznanego poety, nie uczyniono nic, by zapobiedz na przyszłość takim aktom uroczystości pośmiertnych.

Odnaleziono Mochnackiego, wielkiego pisarza „maudit" i nie uczynią nic, by żyjących pisarzy wyklętych inną mierzyć miarą. Jest to tragedja najbardziej polska i najbardziej narodowa. Gdzieindziej, twórcom, przerastającym o głowę współczesne pokolenia, — przynajmniej pokolenia następne z wrzawą stawiają pomniki na placach publicznych ku powszechnej pamięci potomnych. U nas stawiają pomniki „zapomnienia." Gdzieindziej zapóźno ocenione zasługi ludzi, wzbogacających kulturę narodu, wywołują wstydu rumieniec, lub bruzdę troski na czole społeczeństwa. U nas niewygodnych za życia ludzi wciąga się jeszcze bardziej w zapomnienie, lub conajwyżej jako równoważnik pracy całego życia — stawia się po za obręb narodu, uznając ich za cudzoziemców! Tak się dziś stało z wielu ludźmi nauki i działalności społecznej. Rzecz prosta czynią to ci wyraziciele większości, którzy pragną być bardziej narodowi, niż naród sam, a czynią to po to by uchodzić za istotnych synów Polski, którym ojczyzna stawia jeszcze za życia trwałe pomniki „wdzięczności i pamięci dozgonnej." Istotnie, Polska, mając większość takich krajowców jeży się od pomników i jej obszary kultury może dlatego pokrywa jeden wielki niezmierzony cmentarz.

* * *

Maurycy Mochnacki urodził się w Bojańcu, w Galicji Wschodniej, dn. 13 września 1804 r. — zmarł na emigracji — w Auxerres dn. 20 grudnia 1834 r. Pisać życiorys Mochnackiego — znaczy kreślić dzieje powstania listopadowego i na tle wypadków odtwarzać człowieka swego czasu,—postać posągową, odlaną w odmęcie nieszczęść narodowych i własnych. Zadość temu czynią dwie prace wzajemnie się dopełniające: Jana Kucharzewskiego i Artura Śliwińskiego [1]). Prace te ukazały się niemal jednocześnie w siedemdziesiąt pięć lat po śmierci Mochnackiego — estety i krytyka, stylisty i agitatora, żołnierza i trybuna ludu, historyka i publicysty.

Nie bez goryczy stwierdzić należy, że Polska umiała zapomnieć o Mochnackim, w tym nawet stopniu, że pokolenie współczesne wiedziało tylko o istnieniu niewielkiej historji literatury polskiej, napisanej przez tego działacza w początkowym okresie jego twórczości wszechstronnej, w przeddzień wybuchu listopadowego. Polska szlachecka pogrzebała pamięć o Mochnackim wraz ze swojemi dążeniami przeszłości, których potężnym wyrazem i poniekąd ostatnim — był rok trzydziesty pierwszy. Dziś Polska ta, wiodąc swój rodowód polityczny od ks. Lubeckiego — będąc realistyczną z ducha i przekonań — drogą naturalną wyrzec się musiała wszelkiej łączności z rewolucjonistami owej epoki, a przedewszystkiem łączności z Mochnackim, który w pierwszych miesiącach powstania potężną dłonią wywrócił wszystkie bożki szlacheckiej dyplomacji ugodowej. Zaś Polska mieszczańska, chcąc tworzyć nowe wartości na nowym zgoła gruncie, musiała wziąć rozbrat z romantyzmem politycznym i odgrodzić swoją ideologję od wpływów epoki rewolucyjnej. Ludzie nowych czasów w Polsce, uznający potrzebę czynu z pobudek odmiennych i dla innych celów, różniących się od celów ludzi dni listopadowych — nie czuli powinowactwa duchowego z rozbitem w rewolucji pokoleniem; wskazania, płynące z przeszłości, nie mogły mieć znaczenia w rzeczywistych warunkach doby popowstaniowéj. Na tym gruncie powstał klasyczny pomnik „zapomnienia", uporczywie wznoszony przez lat siedemdziesiąt pięć działaczom roku trzydziestego. Dopiero dziś przedmiotowe badania naukowe, obejmujące dzieje Polski, przytem wolne od uprzedzeń stronniczych, i wznoszące się po nad interes stanu czy warstwy — podważyły podstawy tego osobliwego pomnika.

Monografje, poświęcone Mochnackiemu, powstały na drodze badań historycznych, które dotarły już do okresu listopadowego. Być może jednak, że oprócz pobudek przedmiotowych, leżących u podstaw badania naukowego, lecz nie wyłączających sympatji dziejopisarzy dla tej lub innej postaci historycznej, — działały tu także warunki osobliwe, powstałe po nowym okresie rewolucji, również pełnego zawodów, klęsk i rozczarowań. Losy pokolenia dziś rozbitego, przypomina-

[1]) *Jan Kucharzewski*: Maurycy Mochnacki. Kraków. Gebethner i S-ka. Warszawa. Gebethner i Wolff. *Artur Śliwiński*. Maurycy Mochnacki. (Żywot i dzieła) nakładem Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego. Lwów. Obie wydane w 1910.

Bernard Shaw.

Wycinki z gazet.

W Londynie w roku 1913-tym.

Generał *Mitchener* siedzi przy swem biurku w ministerjum wojny i rozpieczętowuje listy. Po jego lewej ręce kominek, na którym pali się ogień, po prawej przy przeciwległej ścianie pulpit do pisania i wysoki stołek. Drzwi znajdują się w ścianie poza biurkiem, na połowie drogi między stołem i pulpitem. Stół stoi niezupełnie w środku pokoju, bliżej kominka niż pulpitu. Przy obydwu końcach stołu stoją krzesła dla interesantów. Na stole telefon.

Długa pauza.

Głos z ulicy. Prawo wyborcze dla kobiet!

Generał wstrząsa się gwałtownie, wyjmuje z szuflady rewolwer i nasłuchuje w śmiertelnej trwodze. Nic się nie dzieje. Zawstydzony odkłada rewolwer, ociera czoło i zabiera się znowu do pracy. Zostaje jednak przestraszony ponownie pojawieniem się ordynansa. Żołnierz ten jest to zgoła nie po wojskowemu wyglądający młodzieniec, niedbały i niezadowolony.

Mitchener. O, tylko tyle... Cóż tam?

Ordynans. Już znowu, panie generale, jeszcze jedna! sama się przykuła.

Mitchener. Sama? Jak? Do czego? Wszak usunęliśmy rygle i wszystko, do czego możnaby było przytwierdzić łańcuch.

Ordynans. Zapomnieliśmy o przyrządzie do wycierania nóg. Położyła się na chodniku i zahaczyła łańcuch bez hałasu. Leży tam teraz i dowodzi, że pan, panie generale, otrzymałeś klucz od zameczka, że znajduje się on w liście w bronzowej kopercie. Mówi, że pan zaraz ją pozna, gdy tylko otworzy list.

Mitchener. Warjatka! proszę kazać wykopać przyrząd do wycierania nóg. Założy się go jej na szyję i tak pójdzie do domu.

Ordynans. Tu leży bronzowa koperta, panie generale.

Mitchener. Wy wszyscy boicie się tych kobiet. (Bierze list do ręki.) Zdaje się, że tu naprawdę jest klucz. (Otwiera list i wyjmuje kluczyk wraz z kartką). Kochany Mitch... — Ależ... jestem zdumiony!..

Ordynans. Tak, panie generale.

jące koleje życiowe pokolenia współczesnego Mochnackiemu, mimowoli naprowadzają uwagę na wypadki z oddalającej się przeszłości. Obraz emigracji, przenoszącej na grunt cudzoziemski końcową akcję historyczną i rozgrywającej ostatnią scenę tragedji społecznej i narodowej — kojarzy się dziś z obrazem emigracji roku trzydziestego pierwszego, bardziej i wyraźniej niż z widokiem wędrówki legjonów napoleońskich i pielgrzymstwa ostatnich powstańców. Wówczas i dziś, emigracja polistopadowa i emigracja porewolucyjna, jednakowo rozbite i poważnione tworzą epilog sprawy w krajach obcych, (znów głównie we Francji), zakładają ośrodki umysłowe, sekcje stronnictw, kłócące się o przewagę i czystość przekonań rewolucyjnych. I dziś tworzy się literatura emigracyjna, będąca sumieniem pokolenia, pokutniczym głosem pielgrzymstwa, głucho rozlegającym się po pustkowiu krajowem.

Wszystkie te warunki uboczne zapewne przyczyniają się do wydobycia z głębi zapomnienia postaci historycznych z okresu powstania listopadowego.

(D. c. n.). *Henryk Lukrec.*

O dziedziczeniu cech biochemicznych.

Na żadnem polu wiedza nie postępuje tak szybko naprzód, jak w dziedzinie badań biochemicznych. Jeszcze niedawno nieprzejrzystą mgłą osłonięte zjawiska stają przed nami obnażone, nęcąc fantazję swą pięknością i święcąc tryumfy nauki. Nieustanna praca badacza pochowała nieodwołalnie egzotyzm przemian organicznych, stawiając na jego miejscu trwały i niewzruszony gmach mechano-chemji.

Po Pasteurze Jacques Loeb, a z nim grono niestrudzonych pracowników toruje, nowy gościniec nauce, szybko posuwając się naprzód.

Wśród metod biochemicznych prym trzyma metoda analityczno-serologiczna. Jej zawdzięczamy nieocenione zdobycze terapeutyczne, że wspomnę tylko o szczepieniach ochronnych, i djagnostyczne, że wspomnę o djagnozie tyfusu, luesu, dyfterytu; wreszcie, opracowawszy cały szereg niezawodnych reakcji analitycznych, serologja stworzyła podwalinę dla racjonalnej opieki państwowej nad środkami spożywczemi.

Przez zastosowywanie tej właśnie metody udało się prof. E. v. Dungern'owi i doktorowi L. Hirszfeldowi (z Warszawy) dokonać odkryć, które posiadają doniosłe teoretyczne znaczenie i stworzyły nowe perspektywy dla medycyny sądowej w kwestji dotąd wszelkich naukowych probierzy pozbawionej, a niezwykle ważnej, bo w kwestji dochodzenia ojcostwa.

Rezultaty owych badań zostały opublikowane przez prof. E. v. Dungerna w odczycie wygłoszonym w stowarzyszeniu przyrodniczo-historycznem w Heidelbergu [1]).

Postaramy się odtworzyć bieg myśli prelegenta.

Jeżeli wprowadzimy substancje protoplazmatyczne jakiegokolwiek rodzaju do obcego organizmu zwierzęcego, to wkrótce powstają we krwi tego zwierzęcia nowe ciała, które w sposób sobie tylko właściwy z powyższemi substancjami reagują. Te nowe ciała nazywamy w przeciwstawieniu do ciał je wyzwalających (Antigen) antyciałkami (Antikörper).

Owóż udało się dzięki specjalnym metodom otrzymywać antyciałka, dla każdego rodzaju w świecie zwierzęcym specyficzne, i przy ich pomocy rodzaje owe rozróżniać serologicznie. Wtedy powstało zagadnienie, czy różnice w anatomicznej budowie w granicach rodzaju mają swe odpowiedniki w chemicznym składzie krwi. I okazało się, że, jeśli substancje wyzwalające (Antigen) pochodzą z organizmu obcego rodzaju, to przeważnie nie dają się spostrzedz żadne różnice w działaniu powstałych antyciałek. Zupełnie inaczej atoli ma się sprawa, jeśli do doświaczeń służy krew indywiduum tegoż rodzaju.

Otrzymujemy wtedy antyciałka, których działanie na krew innych indywiduów tegoż rodzaju bywa niejednakowe. To wskazuje na pewne różnice, zachodzące pomiędzy krwią osobnika, krew którego zastrzyknięto w celu otrzymania antyciałek. a krwią osobników o specyficznej reakcji z powstałemi tą drogą antyciałkami. Tę różnicę w granicach rodzaju zauważyli A. Erlich i Morgenroth, robiąc odpowiednie doświadczenia z kozami. Podobnież eksperymentowali Dungern i L. Hirszfeld z psami. Wstrzyknąwszy psu

[1]) Ueber Nachweis und Vererbung biochemicher Strukturen und ihre forensische Bedeutung. Abhandlungen des naturhistorisch-medicinischen Vereins in Heidelberg.

Mitchener. Co ma znaczyć: „Tak, panie generale"?

Ordynans. Mówiłeś pan, panie generale, że jesteś zdumiony i tak też pan wyglądasz, przepraszam — ale pan tak naprawdę wyglądasz.

Mitchener. (Przeczytał list i jest zanadto zdumiony, aby módz zważać na odpowiedź ordynansa). Ten list jest od prezesa ministrów. Prosi mnie, abym uwolnił z łańcucha tę kobietę, kazał ją przyprowadzić na górę i abym ją natychmiast przyjął.

Ordynans. (drżąc). Nie czyń pan tego, panie dyrektorze.

Mitchener (z gniewem). Wiele razy wydałem już rozkaz, aby mnie nie nazywać „panem dyrektorem"? Jesteś żołnierzem a nie zwykłym cywilistą; pozatem należy się pozbyć strachu, gdy się wstępuje do wojska. Oto klucz. Proszę ją uwolnić i przyprowadzić na górę.

Ordynans. Ja mam ją uwolnić! Na to się nie odważę. Bóg wie, co ona może mi zrobić.

Mitchener (wstaje rozdrażniony). Proszę natychmiast wykonać rozkaz; nie ośmielać sprzeciwiać mi się! Gdyby cię nawet miała zabić, to jest twym obowiązkiem umrzeć za ojczyznę. Na prawo zwrot. Marsz.

(Ordynans wychodzi drżąc).

Głos z ulicy. Prawo wyborcze dla kobiet! prawo wyborcze dla kobiet! prawo wyborcze dla kobiet!

Mitchener (naśladuje) Prawo wyborcze dla kobiet! (zwykłym głosem) prawo wyborcze dla dzieci! prawo wyborcze dla niemowląt! prawo wyborcze dla małp! (staje na dywanie przy kominku i czeka na wroga).

Ordynans (za sceną)! Wejść! (Wpycha do pokoju zadyszaną sufrażystkę). Oto ona. (Wychodzi).

(Sufrażystka zdejmuje spódnicę, ukazując parę modnych spodni).

Mitchener (przerażony) Hola, moja pani! Co pani robi? Nie wolno pani rozbierać się w mojej obecności. Protestuję. Nawet list od prezesa ministrów...

Sufrażystka. Mój drogi, ja jestem prezesem ministrów—(zrzuca kapelusz i suknię i staje przed generałem w zwykłem odzieniu ministra).

Mitchener. Wielki Boże! Balsquith!

Balsquith (rzucając się na fotel). Tak jest, Balsquith. Do tego już doszło: jedyny środek, dzięki któremu premier Anglji może przedostać się z Downing Street do ministerjum, polega na tem, że musi się przebrać za kobietę, krzyczeć nieustannie „prawo wyborcze dla kobiet"! i przykuć się do pręta do wycierania nóg. Na rogu stały one w pogotowiu do walki i wznosiły okrzyki na moją cześć. Sama Bellachristina była

do otrzewnej krew drugiego psa, znajdowali oni w surowicy pierwszego antyciałka (agglutyniny), które agglutynowały nie tylko krew użytą do injekcji, lecz i krew niektórych innych psich osobników; nie agglutynowały one jednak własnej krwi. W ten sposób wnioskuje się, że we krwi psów, prócz części dla całego rodzaju charakterystycznych, istnieją grupy chemiczne pewnym indywiduom tylko właściwe.

Takich grup znaleziono dwie: grupa A i grupa B. Odpowiadają im agglutyniny a i b. Znajdowano wszystkie (4) możliwe kombinacje. Jedne osobniki posiadały tylko grupę A, inne B, znów inne — obydwie lub też żadnej. Tylko wtedy znajdowano w surowicy agglutyninę (a lub b), jeśli krew wstrzykiwana zawiera grupę, której nie było we krwi zwierzęcia obserwowanego. W ten sposób w surowicach psów z grupą A znajdowano agglutyninę b, u psów z B znajdywano; a u psów, których krew nie agglutynowała wcale, to jest u takich, które ani A ani B nie posiadały, znajdowano b lub a,—we wszystkich wypadkach o tyle tylko, o ile krew zastrzykiwana zawierała B lub A.

Między grupami A i B, a właściwościami anatomicznemi nie znaleziono żadnej zależności. Często psy należące do rozmaitych ras, należały do tej samej grupy biochemicznej, a psy jednej rasy wykazywały powyższe różnice.

Podobne doświadczenia z ludźmi nie dają się tak łatwo przeprowadzić. Mało jest chętnych do dokonywania podobnych operacji, które też nie są pozbawione niebezpieczeństwa infekcji. Lecz skorzystano tu z własności ludzkiej krwi, odkrytej przez Landsteinera. Badacz ten stwierdził, że we krwi ludzkiej, bez uprzedniego wprowadzenia do organizmu obcej krwi, znajdują się dwie agglutyniny. Mogą one znajdować się we krwi pojedyńczo lub też razem. Każda z nich agglutynuje tę tylko krew, która zawiera odpowiednią grupę, przyczem agglutyninom a i b odpowiadają grypy A i B, różne jednak od poprzednich. Doświadczenia, które obejmowały 342 osoby, wykazały: w 67,6% grupę A, w 12,2% grupę B, w 47% nie było ani A ani B. Z późniejszych publikacji [2]) Hirszfelda i Dungern'a dowiadujemy się, że badaczom tym udało się odnaleść we krwi ludzkiej jeszcze nowych dziesięć specyficznych grup; jeżeli te grupy są w istocie niezależne od siebie, to można dzięki nim odróżniać więcej niż 4000 rodzajów krwi ludzkiej. Nie udało sie jednak badaczom tym wyjaśnić sposobu, w jaki owe przyrodzone antyciałka powstają. Przypuszczają oni jednak, że specyficzne grupy (A, B) powstają niezależnie od agglutyn (a, b).

Przez rozległe badania, obejmujące 72 rodziny i 348 osoby, udało się H. i D. odkryć prawidłowości w dziedziczeniu biochemicznych grup A i B. [3]). Podajemy tu tylko główne rezultaty, odsyłając ciekawych do originalnych publikacji, wskazanych w odnośnikach.

Jeżeli rodzice posiadają we krwi jedną i tę samą grupę, A lub B, to zazwyczaj tę samą grupę spotyka się we krwi wszystkich dzieci. Zdarzają się jednak wyjątki: tu i owdzie brakuje grupa rodzicielska.

Jeżeli rodzice posiadają różne grupy, a to jest wypadek najczęstszy, to u dzieci spotykamy albo jedną albo drugą grupę.

Jeżeli rodzice nie posiadają A lub B, to nigdy ona nie występuje u dzieci.

Ostatnie jest najważniejszem odkryciem, albowiem dzięki niemu dają się badania nad krwią sądownie wykorzystać.

Jeżeli naprz. dziecko posiada grupę A lub B, której nie posiada matka, to można wśród mężczyzn odnaleść ojca; gdyż *rzeczywisty* ojciec *musi* posiadać we krwi tę grupę, którą posiada dziecko, a której nie posiada matka. Jeżeli ta sama zasada da się zastosować i do innych specyficznych grup przez Hiszfelda odkrytych, to sądownictwo będzie miało niezawodny sposób stwierdzania ojcowstwa.

Niezmiernie doniosłe jest wreszcie odkrycie, dokonane przez tych samych uczonych, że dziedziczenie omawianych własności podlega ściśle określonemu prawu, mianowicie prawu Mendel'a. Zasada prawa tego jest następująca:

Jeżeli się łączą dwa osobniki jeden o grupie charakterystycznej A, drugi—B, to pierwsze pokolenie potomstwa będzie albo tylko A albo tylko B; drugie jednak pokolenie powstałe z łączenia się pomiędzy sobą bastardów z pierwszego pokolenia nie będzie już jednakowe, mianowicie jedna połowa podobna będzie do dziadków, druga zaś do ojców. Prawo

[2]) W Münchner mediz. Wochenschrift 14, 1910.

[3]) Zeitschrift für Immunitätsforschung und exper. Therapie 6, 1, 1910.

---

tam nawet. Uścisnęła mi rękę i poradziła mi podać się za jarosza, gdyż w więzieniu w Holloway djeta wegetarjańska ma być lepsza.

Mitchener. Dlaczego pan nie telefonowałeś?

Balsquith. Odłączyły aparaty. Wszystkie łączniki w całym Londynie są w rękach tych kobiet lub ich wielbicieli.

Mitchener. Skąd, na miłość boską, wziąłeś pan tę suknię?

Balsquith. Ukradłem ją z jednej małej wystawy, którą urządziła moja żona na Downing Street.

Mitchener. Ale to nie jest chyba suknia francuska?

Balsquith. Ależ na Boga! żonie mojej nie wolno używać nawet do czyszczenia rękawiczek kredy francuskiej. Wszystko musi być zaopatrzone w etykietę: „Made in Camberwell". Żona moja poradziła mi, abym poszedł do pana. To, co mam do doniesinia, muszę donieść panu ustnie i tu, na tem miejscu, w najściślejszem zaufaniu i jaknajdobitniej: Sandstone podaje się do dymisji.

Mitchener. (zdumiony) Stary podaje się do dymisji!

Balsquith. Podaje się do dymisji.

Mitchener. Ale dlaczego? Niepodobieństwo! Proklamowane we wtorek nowe prawo uczyniło Sandstone'a dyktatorem stolicy. Teraz brać dymisję, to byłoby poprostu dezercją.

Balsquith. Tak tak, mój drogi, wiem o tem wszystkiem równie dobrze, jak pan. Kłóciłem się z nim tak długo, że aż zsiniałem, a on tak poczerwieniał, że eksplodowałby z pewnością, gdybym jeszcze dłużej na niego nastawał. Jest wściekły, ponieważ odrzuciliśmy jego projekt.

Mitchener. Ależ wszak przyjęliście go bez zastrzeżeń.

Balsquith. Tak, nie wiedząc jednakże, na czem on polega. Trzeba panu wiedzieć, że jest nie do wykonania.

Mitchener. Nie wiem. Dlaczego jest nie do wykonania?

Balsquith. Mam na myśli ten punkt, w którym Sandstone radzi rozciągnąć kordon w promieniu dwuch mil naokoło Westminsteru i wyrzucić wszystkie kobiety poza jego obręb.

Mitchener. Arcydzieło strategji! Wytłumaczę to panu. Syfrażystki stanowią korporację nieliczną, lecz dostatecznie silną, by stać się uciążliwą lub nawet groźną, o ile wszystkie skupią się na jednem miejscu, np. na placu przed parlamentem. Jeżeli nakreślić koło o promieniu dwuch mil i odeprzeć kobiety na jego

to zostało już nieraz w swiecie roślinnym z wielką ścisłością sprawdzone. Za pomocą prostych obliczeń matematycznych udało się z dużą ścisłością zasadę tę zastosować i do powyższych doświadczeń. To daje biochemicznym badaniom jeszcze większe znaczenie.

Te tak chlubnie rozpoczęte prace są kontynuowane w Heidelbergu w „Institut für Krebsforschung" głównie przez L. Hirszfelda. Rozległa wiedza i szczere zamiłowanie do pracy tego młodego lecz zaszczytnie znanego w nauce badacza, pozwala nam spodziewać się wkrótce świeżych równie chlubnych rezultatów jego pracy.

T. Or.

FELJETON.

Gospodyni wiejska.

Wstaje przed świtem od lat, których nikt nie pamięta. Drżącą dłonią przysłania światło mizernej lampy i z trójgraniastym, chyboczącym się, żółtym z zazdrości płomykiem wchodzi do izby dziewek.

— Wstawajcie! Wstawajcie! — Jak zjawa przeklęta, jak czarownica złośliwa nie chybia nigdy... Cerę ma bladą, niemiłą, zastygłe, uparte oczy, pomarszczone, węzłowate ręce.

Z jadowitą złośliwością patrzy, jak dźwigają się dziewki — tłuste, ospałe, lśniące rumianem ciałem. Przemawia do nich z nieubłaganą słodyczą, gotowa warknąć cierpko, gdy ociąga się która.

Oto wstały już wszystkie, drżą lekko w chłodzie porannym, rozkudłane, pełne sparaliżowanej wściekłości do niej. Rozpalają ogień, przeciągają się, pryskając sobie w oczy ukropem złości, gotowe porwać się za łby, tarzać się po ziemi i wyć, że im nie dano wyleżeć się w legowisku snów gorących!

Tymczasem świt się brzeszczy, koguty zapiały. Gospodyni jak upiór szary znika i wraca. Jest wszędzie, gotowa zawsze uprzedzić rękę chciwą na kurzopańskie jajko, na bryłkę sera, na liz śmietany. Wyrasta, jak grzyb suchotniczy, czujna, nieubłaganie sprawna, pielęgnująca cudzego.

I tak snuje się ten czuj-duch, zaciekły przez dzień cały. A gdy wieczór zapadnie, jeszcze raz z księżycem robi przegląd śpiżarni. Masło ma się wybornie, śmietana zamyślona, biała i gęsta, sery wiszą w siatkach jak smagło-cytrynowe światy. Słonina, kiełbasy i półgęski pachną pełne czołobitnego oczekiwania, kiedy państwo raczą je spożyć. Rodzynki... ba! gdyby się miało własnego wnuka!

Bierze jedną pomarszczoną jagodę, kładzie na zwiędłych wargach, dusi językiem, czeka nieopisanej słodyczy, krzywi się i wzdryga zawiedziona. Z trzaskiem zamyka drzwi spiżarni...

Potem, nim ułoży na wązkiem łóżku zwiędłe ciało, idzie, czając się chytrze, skradając się głucho, idzie sprawdzić znienacka, czy dziewki nie wymknęły się do parobków.

Stara oficyna.

Oficyna ma na wierzchu blaszanego kogutka z rozdziawionym dziobem, piejącego na wschód od lat niepamiętnych, który jednak dotąd nic nie wypiał. (Dowód najlepszy, że nie zawsze cierpliwość prowadzi do celu).

Stare schody trzęsą się, gdy po nich stąpać. Skrzypią przeraźliwie, chwieją się omdlewająco, trzeszczą groźnie. W starości polubiły spokój i samotność, nabrały przekonania, że deptać po nich nie można.

Jednego tylko „gościa" przyjmują, pomrukując radośnie. To mieszkaniec starej oficyny. Idzie, stąpając miłościwie, aby nie przydeptać zbyt boleśnie wytartych stopni. Na nogach ma żółte spodnie, modne niezmiernie w onym czasie, kiedy schody były młode i pachniały upajająco żywicą. Nie dotyka ręką poręczy, aby nie strącić bladego mchu i kępek chwastów, co się zagnieździły w pęknięciach zszarzałych belek.

„Stary" ma okno weneckie z wypłowiałą firanką, która niegdyś była zielona jak nadzieja. W oczach sąsiadów uchodzi za czarownika. Dzieci wierzą, że może wyciągnąć z komina czterdzieści łokci wstążek kolorowych, a gdy krzyknie na djabła, ten sypnie mu cukierkami...

„Staremu" dobrze z tą sławą i z fajką staroświecką.

Pali sobie na próchniejących schodach i patrzy...

Wprost, na dole sadzawka zielona od skrzeku. Niegdyś były w niej rybki, ale posnęły. Dziś grzązka, zastygła, martwa z pozoru, czasem kwaknie żabą.

---

obwód, wówczas rozprasza się siłę ataku na przestrzeń dwuch mil. Zupełnie to samo uczyniłby Wellington.

Balsquith. Ależ kobiety nie dadzą się odeprzeć.

Mitchener. Nonsens! muszą pójść.

Balsquith. Ale nie pójdą.

Mitchener. Co mówi Sandstone?

Balsquith. Mówi, że powinno się do nich strzelać.

Mitchener. Ma się rozumieć.

Balsquith. Pan nie mówisz tego na serjo.

Mitchener. Zupełnie serjo.

Balsquith. Ale przecież nie można do nich strzelać! pomyśl pan: kobiety!

Mitchener (wyciągając nogi). Można. Chociaż cywilistom wydaje się to czemś nadzwyczajnem, to jednak jest tak: jeżeli kobiecie przystawić do piersi karabin i wystrzelić, pada ona zupełnie tak samo jak mężczyzna.

Balsquith. Przypuśćmy jednak, że własne córki pana—Helena i Georginja...

Mitchener. Moim córkom nie może wcale przyjść do głowy, aby mogły odmówić posłuszeństwa proklamacji. (Przypomina sobie coś). Przynajmniej Helenie.

Balsquith. A Georginja?

Mitchener. Georginja uczyniłaby to, gdyby wiedziała, że zostanie rozstrzelana, jeżeli tego nie uczyni. Tak, tym sposobem możnaby było tę sprawę załatwić. Metody wojskowe są koniec końców najbardziej miłosierne. Bo oto posyła się te kobiety do Holloway i zabija się je tam powoli i nieludzko, podkopując ich zdrowie! I zgoła bezcelowo, kobiety stają się tylko jeszcze gorsze. Każcie kilka z nich rozstrzelać, szybko i ludzko, a wszelki opór wraz z cierpieniami wynikającemi z oporu, skończy się odrazu.

Balsquith. Ale opinja publiczna nie zniesie tego nigdy!

Mitchener (chodząc po pokoju, wygłasza kategoryczne zdanie). Niema żadnej opinji publicznej!

Balsquith. Niema żadnej opinji publicznej!

Mitchener. Niema absolutnie. Są tylko pewni ludzie, którzy rozpowszechniają pewne poglądy. Należy ich rozstrzelać. Dopiero gdy się ich rozstrzela, nie będzie nikogo kto mógłby rozpowszechniać dany pogląd. A zatem nie będzie już wówczas żadnej opinji publicznej, której pan się tak lękasz. Postaraj się pan to zrozumieć, drogi panie Balsquith, a posiędziesz pan tajemnicę rządzenia. Opinja publiczna to jest duch. Duch nie daje się oddzielić od materji. Zabij pan materję, a zabijesz pan ducha.

Balsquith. Ależ niech djabeł porwie wszystko...

Mitchener (z uporem). Nie, niech djabeł nie po-

Dalej ogromne łąki, przecięte kanałem. Czasem dzieci biegają po trawie, prowadzone przez młode niańki.

Ileż główek widział tak z góry! Znikały jedne, przychodziły inne—takie same, jak dawniej... Aż przestał je odróżniać z twarzy i płci i uznał w nich jednakie skorowiędłe kwiaty boże.

Gęsi.

O wietrzyki milutkie, o zefirki, podnoszące się cichutko jak dzióbki piskląt! Powiewajcie lube, powiewajcie! Jak słodko wędrować gęsiom wśród waszych podmuchów! Kwiaty kłaniają się mile z obu stron drogi: bluszczyki, nagietki i żmijowce, nawet dziewanny chylą nieco harde karki i złotemi dukatami kwiecia poglądają za gęsią drużyną. Pobłyski sinawe błądzą po lśniących pierzach, otulających krzepkie, białe, utuczone ciała. Ach, tam na łąki między śmiejące się dobrotliwie kałuże, maleńkie, ukryte cicho wśród badyli, rdzawo-połyskliwe, między gałązki gajów zielonych i błyszczących, dźwięcznych nikłą piosenką bylejakiej zabłąkanej ptaszyny. Ach, dalej i dalej, między opłotkami, koło progów domów jakby opuszczonych, koło sadyb utopionych w sadach, koło okienek zaśniedziałych i tęczujących, koło psów, zwiniętych w mrukliwy kłębek lub rozwalonych na skwarze jak bajadera na skórze pantery.

Dalej i dalej w pachnący zbożami bezmiar! A kiedy wzniesiecie głowę, po niebie płyną także gęsi białe, lotne, pyszne i rozrosłe! Dalej więc z nogi na nogę, przewalając rozkosznie ciało, wyciągając szyję i dziób płaski ku młodej parze, która w pysze ludzkiej, w zarozumiałości niedostępnej i grzesznem zapomnieniu nie raczyła nawet spojrzeć na przepych gęsiego orszaku. Dalej koło stawów zapomnianych przez wysoko podkasane praczki, wskroś piachy kruche i sypkie, wzdłuż obrusów złotych pachnących łubinów na łączki mokre, gdzie chlu-pot, chlu-pot, rozkosznie grzęzną łapki i nabierają żywej, krzyczącej amarantowej barwy. Jaka to rozkosz dążyć tak i szczypać trawę w podróży, na prawo i na lewo, zjadać bezbronne, wonne gatunki ziół, płoszyć żwawe, lśniące zielono szczypawki, dziobnąć czasem z nienacka Bogu ducha winny kosmaty mech na pniu przydrożnej drzewiny! Jakaż to rozkosz nie czuć za sobą powiewu wielkiej zielonej gałęzi dziewczyny, która pędzi stado, a potem rozkłada się na wzgórzu do góry jędrnemi piersiami i myśli niewiadomo o czem! Jakaż to rozkosz tak sobie kroczyć poważnie drogą pustą, cichą jak wstęga, zostawioną łaskawie przez los i opatrzność gęsiom, pogęgując zlekka, od niechcenia racząc niekiedy uronić z dzióbka cenną perłę gęgu!

Gęsior na przodzie chwieje się majestatycznie i syczy, zanim zdąży ukazać się niebezpieczeństwo. Rowem przydrożnym pomyka kot pełen trwogi i szacunku. A te cudowne floresy powietrzne, zakreślane głową gęsiora, gęsiego zbawcy, przewodnika duchowego i sułtana! (Och — jak on kocha się w rozkoszach!) Tak, tak, tak—gęsior wie, co robi!

A potem, potem?... Cóż jeszcze potem? Błogość nasycenia, przystanek kojący, złożenie ciała na przykulonych nóżkach i drzemka, słodkie, upajające lenistwo rozmarzenia. A gdy oko zachodzi sennem bielmem, raz jeszcze spojrzeć na gałęzie lipowe, zwisające miękko, kołyszące się cicho, na skrzydła wiatraka, szybujące gdzieś daleko... daleko!...

Leon Choromański.

KRYTYKA i SPRAWOZDANIA.

Inteligencja a stan czwarty.

Jest rzeczą pewną, że sprawa stosunku tak zw „inteligencji" do socjalizmu jest tem żywotniejsza, tem bardziej — i tem namiętniej—omawiana, im w danym kraju klasowy ruch robotniczy jest słabszy, im mniej jest warunków, aby poszczególne jednostki z pośród proletarjatu samego mogły dochodzić do wiedzy i wyrobienia, pozwalających na objęcie kierownictwa nad zorganizowanym ruchem politycznym, zawodowym i współdzielczym.

Stąd w Rosji np., a i u nas, zagadnienie to częściej porusza umysły, aniżeli na zachodzie Europy. Jednakże powracają do niego i tam, jak o tem świadczy świeżo wydana broszurka teoretyka austrjackiego Maxa Adlera: *„Der Sozialismus und die Intellektuelen"*.

---

rywa wszystkiego! Jest bezcelowem przyjść tutaj i gadać ze mną o opinji publicznej. Pan powierzyłeś armji swe losy i teraz pozostają panu tylko metody wojskowe, a podstawa wszelkich metod wojskowych polega na tem, że strzela się do ludzi, którzy nie chcą czynić tego, co im się każe.

Balsquith. O tak, to wszystko jest dobre i piękne dla pana i dla starego. Wasze stanowiska nie zależą od wyborców. Ale co stałoby się, zdaniem pana, z nami przy najbliższych wyborach?

Mitchener. Nie dopuśćcie do najbliższych wyborów! wnieście prawo o odwołaniu wszystkich aktów reform i o przetworzeniu obecnego rządu w specjalną zwierzchność odpowiedzialną tylko wobec rady wojennej. W Indjach idzie robota wybornie. A kto się będzie opierał, tego się rozstrzela.

Balsquith. Ależ ani jeden członek mojej partji nie poprze tej rady wojennej. Ja też nie. Myślisz pan, że będziemy głosowali za tem, aby uczyniono z nas zera?

Mitchener. Prędzej czy później będziecie do tego zmuszeni. Albo socjaliści zrobią z was zera, odebrawszy wam każdego penny, którego jeszcze posiadacie. Myślisz pan, że można pozwolić tej przeklętej demokracji dalej tak postępować, teraz, gdy masa poczyna brać ją na serjo i powoływać się na jej potęgę, aby znieść własność? Parlament musi się sam unicestwić. Parlament irlandzki głosował za tem aby go rozwiązać. Parlament angielski uczyni to samo, jeżeli zastosuje się te same środki, aby go do tego doprowadzić.

Balsquith. To kosztowałoby masę pieniędzy.

Mitchener. Niekoniecznie pieniędzy. Kupcie ich za tytuły.

Balsquith. Myślisz pan, że możemy się na to odważyć?

Mitchener (drwiąco). Odważyć! Odważyć! Czyż całe życie nie polega na odważeniu się?

Głos kobiecy (na ulicy). Prawo wyborcze dla kobiet! (Mitchener z rewolwerem w ręku spieszy do drzwi i zamyka je na klucz. Balsquith chowa się pod stół). Prawo wyborcze dla kobiet! (Słychać wystrzał).

Balsquith (wynurza się z pod stołu w najwyższem przerażeniu). Wielki Boże, chyba nie wydałeś pan rozkazu, ażeby strzelać do kobiet? co?

Mitchener. Nie. Ale jest obowiązkiem posterunku strzelać do każdego, kto chce przejść bez hasła.

Balsquith (ocierając czoło). Ta wojskowość jest naprawdę okropna.

Dziełko to poniekąd okolicznościowe. Gdy przed laty 15 bankructwo liberalizmu mieszczańskiego w Austrji zmusiło gorętszą część młodzieży do zastanowienia się nad drogami, jakiemi należało jej kroczyć, a pierwszy wielki szturm o zdobycie prawa wyborczego zwrócił jej uwagę na ruch robotniczy, powstało w Wiedniu „Wolne Zjednoczenie studentów-socjalistów".

Większość członków tego stowarzyszenia powróciła z czasem pod wpływem oportunizmu życiowego tam, skąd wyszła, t. j. do obozu burżuazyjnego. Reszta dochowała wiary ideałom „Zjednoczenia" i dotąd w mniejszym lub większym stopniu czuje i pracuje — zwłaszcza piórem—dla sprawy „czwartego stanu". Temu to właśnie „Zjednoczeniu" w 15-tą rocznicę założenia poświęcił M. Adler, były jego prezes, najnowszą swą pracę.

Celem jej—przekonanie do socjalizmu inteligencji, szczególniej zaś kształcącej się młodzieży. Autor stara się w niej wykazać, jakie znaczenie dla ludzi, pracujących umysłowo, ma socjalizm jako ruch kulturalny, cel rozwojowy. Nie zwraca się tu do interesów klasowych jednostek, należących do t. zw. „wolnych zawodów", lecz jedynie—do ich interesów kulturalnych.

Otto Bauer w zeszycie lipcowym „*Kampf'u*" nazywa stanowisko to słusznem, twierdząc, że doświadczenie wykazało, iż tylko poznanie naukowe może zadzierzgnąć mocny i trwały węzeł między inteligencją a socjalizmem. Odrębność interesów stanowych, zdaniem tego pisarza, doprowadza inteligencję do stanowiska jedynie cechowego, nawskroś wstecznego.

Bauer powołuje się tu na przykład obecnych wrogich względem robotników wystąpień związku lekarzy austrjackich. Przykład ten nie jest jednak całkowicie przekonywający, i błędem byłoby wyciągać zeń wnioski uogólniające.

Z istoty swego zawodu lekarze, podobnie jak i adwokaci, stanowią wśród inteligencji zarobkującej dział poniekąd wyodrębniony. Więcej, niż inni, są w rzeczywistości „wolnemi" zawodowcami, nie są tak uzależnieni od kapitału, od systemu rynkowego popytu i podaży, jak np. handlowcy i technicy, będący prawie bez wyjątku takiemi samemi, jak „proletarjusze", najemnikami.

W stosunku więc do tych odwoływanie się właśnie do interesów klasowych byłoby o wiele więcej uzasadnione, bardziej zgodne z ich stanowiskiem społecznem i zależnością od posiadaczy.

Ta metoda nie zawiera też niebezpieczeństwa kryjącego się w apelowaniu do inteligencji w imię „idealizmu". Kto łączy się ze „stanem czwartym" nie wskutek rozumienia tożsamości interesów klasowych, ten nigdy nie zjednoczy się z nim organicznie i na pierwszem rozdrożu rozejdzie się na zawsze; przytem z konieczności wnosi do ruchu robotniczego pierwiastek filantropji lub romantyzmu, które z ruchem tym nie mają nic wspólnego, które są z nim sprzeczne i powodują tylko wkraczanie na manowce.

Bauer zresztą dobrze to sam rozumie, przyznając dalej, że w odwoływaniu się do gorącego idealizmu uczuciowego młodzieży leżą właśnie braki broszury Maxa Adlera.

Ten ostatni—powiada Bauer—uważa, „że socjalizm ma widoki powodzenia wśród inteligencji; nie docenia trudności, które będą tem większe, im bardziej klasa robotnicza będzie wzrastała w moc, im mniej do współczucia, im więcej do siły odwoływać się będzie; im mniej występuje jako sekta, pełna mistycznych tęsknot ku przyszłości, im więcej ucieka się w imię bezpośrednich swych interesów do siły. Optymizm Adlera wydaje się nam dziś mało uzasadniony".

Na dowód, że tak jest, że burżuazja coraz bardziej odwraca się od „idealizmu", wskazuje Bauer na istniejącą we wszechnicach niemieckich dążność do stanowczego oddzielania nauki od wszelkich wartości etycznych.

Dążność ta—mówi—jest dla „marksistów niewątpliwym postępem metodologicznym, uzasadnionym odruchem przeciw bezkrytycyzmowi poznania teoretycznego i sądów politycznych szkoły „historyczno-etycznej". Ale ten postęp metodologiczny służy w rzeczywistości celom praktycznej reakcji: poza wszystkiemi temi poszukiwaniami metodologicznemi, bez względu na liczne powoływania się na Marksa, kryje się ten tylko cel, aby spędzić politykę społeczną z katedr, wygnać z seminarjów studja nad stanem robotników".

To też nawoływanie inteligencji do szeregów proletarjackich w imię „idealizmu", przekonywanie, że iść w straży przedniej postępu społecznego i wolności jest jej *powinnością* — stanowi jałową i bezpłodną agitację.

Inteligencja będzie szła z proletarjatem o tyle

Mitchener. Uspokój się pan, tak być musi. Wierzaj mi pan, ostatecznie właśnie tym sposobem unika się rozlewu krwi. Dosyć długo zajmują się temi sprawami i znam się na tem.

Balsquith. A ja się na tem nie znam. Chciałbym, żeby karabiny nie robiły tego piekielnego hałasu. Musimy wprowadzić w armji proch bezdymny Maxima, jeżeli chcemy strzelać do kobiet. Nie mógłbym naprawdę tego słuchać. (Ktoś usiłuje z zewnątrz otworzyć drzwi, a potem puka). Co to?

Mitchener. Kto tam?

Ordynans. To ja „panie dyrektorze". Wszystko w porządku.

Mitchener. (otwiera drzwi i wpuszcza Ordynansa, który staje pomiędzy niemi). Co to było?

Ordynans. Sufrażystka.

Balsquith. Żołnierz posterunkowy strzelił do niej?

Ordynans. Nie, panie generale, ona strzeliła do żołnierza.

Balsquith. (oddycha z ulgą). Oh, nic więcej?

Mitchener (oburzony). Nic więcej? Cywilista zabija żołnierza jego Królewskiej Mości przy pełnieniu obowiązku, a premier Anglji pyta: Nic więcej?! Czy nie masz pan zgoła tego poczucia, że życie ludzkie jest świętością?

Balsquith (z uczuciem nadzwyczajnej ulgi). No żołnierze nie są wyborcami.

Mitchener. Sufrażystki wszak też nie wybierają.

Balsquith. Ale ich mężowie. (Do ordynansa). Zabiła go?

Ordynans. Nie, Ekselencjo. Kula zadrasnęła spodnie, ale ich nie przebiła. Żołnierz stracił cierpliwość, opuścił karabin i uderzył ją w głowę. Powiedziała mu na to, że nie jest gentelmanem; puściliśmy ją więc, sądząc, że dostała, co jej się należało.

Mitchener (niezadowolony). Uderzenie w głowę! Przez te baby armja traci cały porządek. Uderzenie! na Boga, postępowanie godne cywilisty!

Ordynans. Czy pan generał ma rozkazy?

Mitchener. Nie. Tak. Nie. Tak: posłać na odwach wszystkich, którzy brali udział w tej sromotnej scenie. Nie. Po obiedzie będę miał przemowę do moich ludzi w tej sprawie. Niech się ubiorę po galowemu: jak na paradę. Nie śmiej się. Na prawo zwrot. Marsz. (Ordynans odchodzi).

(d. c. n.)

tylko, o ile *zmuszą* ją do tego warunki życiowe, rosnąca zależność od kapitału.

Jest to powszechne niezłomne prawo dziejowe.

— *ski.*

Janusz Korczak. Koszałki opałki. 2-gie wydanie. Warszawa 1910 r.

Blizkim, najbliższym sprawom, przekonaniom, poglądom, ideom unoszącym się aktualnie w powietrzu naszego miasta poświęcony jest zbiór feljetonów Janusza Korczaka, zamieszczanych przeważnie w dawnym „Głosie". Są to drobiazgi, pisane pod wrażeniem chwili, osnute na tematach z życia codziennego. Ale co najważniejsza, pointe'y tych małych opowiadań czy szkiców wymierzone są w dziedziny, odległe bardzo od kieratu tej codzienności. Autor jest człowiekiem idei, świadomym swych celów i dróg, które do nich prowadzą. Zamiłowanie do spraw wychowania, które w parę lat po napisaniu tych feljetonów miało zjednać autorowi zasłużony rozgłos, przejawia się w skrzących bolesnym humorem szkicach: „Dzieci to...", „Mój sen", „Franek", „Zdziś", „Na wydaniu", „Oświata". Czy pisze o podłostkach życia prywatnej biurokracji, czy o sprzeczności między powołaniem a zawodem, czy o losie „wielkich" w mieście Metagłupin, „które nie znajduje się nad Wisłą", czy rozwija ideologję rzezimieszka lub taksatora, czy też dokonywa za pośrednictwem jednego ze swych „zrównoważonych" epokowego odkrycia, że „kelner jest człowiekiem"—zawsze drwi, ośmiesza, wykpiwa. ironizuje. Wysoka kultura duchowa, którą posiadł, nie pozwala mu zrozumieć całego mnóstwa poglądów i zwyczajów, przyjętych w społeczności kulturalnej. Należy do rodu tych „dzikusów", którzy w XVIII wieku wytoczyli wojnę cywilizacji. Sprzeczność pomiędzy jego pojmowaniem kultury, a tem, co za nią ogólnie uchodzi, stwarza ton przypominający chwilami metodę „analityczną" Sokratesa, a który przechodzi niekiedy w głuchy odgłos bezwzględnego ciosu, zadanego hartowną lancą dowcipu. Niektóre z feljetonów Korczaka mogą uchodzić za wzór tego rodzaju twórczości wogóle.

Mm.

Kto rano wstaje...

Pan Marceli Knopf był w najwyższym stopniu neurastenikiem.

O leczeniu się myśleć nawet nie chciał, neurastenji bowiem nie uważał za chorobę, lecz — zupełnie słusznie—za normalny stan jednostek lepszego gatunku. Zresztą poradziłby się może lekarza, gdyby nie to, że w Sulejowie, ani w okolicy nie znał ani jednego specjalisty chorób nerwowych i to będącego w stanie zrozumieć tę—neurastenją zwaną—dziwną tęsknotę, która rozrywała duszę pana Marcelego Knopfa.

Sulejów — przyznać należy na chwałę tego miasta—interesował się osobą pana Marcelego Knopfa. Dziwy opowiadano o człowieku, którego trapiła tęsknota neurastenją zwana. Szukano przyczyn przykrego stanu, który pozbawiał go humoru, zdolności do pracy, zapału, właściwego jego młodym latom, i nawet możności wczesnego wstawania. W samej rzeczy, pan Marceli Knopf wstawał najpóźniej na cały Sulejów!...

A że intensywne dociekania muszą doprowadzić do pozytywnego (w najgorszym razie—mylnego) rezultatu, interesujący się osobą pana Marcelego Knopfa mieszkańcy Sulejowa doszli do przekonania, że właśnie owo późne wstawanie jest istotną przyczyną jego neurastenji—tej pierwszej neurastenji w Sulejowie. Sulejów dotąd neurastenji nie znał i bodaj że był poniekąd wdzięczny panu Marcelemu Knopfowi za wprowadzenie tego pięknego wyrazu—neurastenja—do niebogatego słownika sulejowskiego.

Pogląd mieszkańców Sulejowa na neurastenję pana Marcelego Knopfa musiał jednak być dość trafny, bo do podobnej opinji samodzielnie i bez uprzednich dociekań wspólnych z kimkolwiek z mieszkańców Sulejowa doszedł pan Anastazy Zabierkowski, ziemianin zamieszkały o 15 mil złej drogi i kuzyn pana Marcelego Knopfa (Walerja Knopfówna, ciotka pana Marcelego, była za ś. p. Zabierkowskim, ojcem pana Anastazego).

Nieraz mawiał pan Anastazy:

— Ot Marcelku, wstałbyś, panie, wcześniej, poszedłbyś za miasto. Słońce, panie, powietrze, tego... i wyglądałbyś zdrowo i czerstwo, tak jak ja. Czułbyś się inaczej.

— I poco się przezwyciężać, poco walczyć z sobą — odpowiadał pan Marceli. — Jestem woli pozbawiony, zdaję sobie z tego świetnie sprawę. Nie wierzę, aby zdała się na coś walka z przyzwyczajeniami, które z całem mojem ja tworzą jedną całość.

— Nie pleć, Marcelku, bój się Boga Jedynego, panie! Wolę trzeba w sobie wyrobić. Wola, panie, to siła—a do silnych świat należy.

Tu prostował się pan Anastazy Zabierkowski na znak, że jest jednym z tych, do których świat należy.

Biedny pan Marceli Knopf z jednej strony chciał nad wyraz, żeby do niego też świat należał, a z drugiej strony wahał się trochę między poetami sławiącemi pełną odcieni subtelnych miękość i poetami wielbiącemi siłę męską.

Pod wpływem rozumowań pana Anastazego Zabierkowskiego tajemne to wahanie wzrosło do rozmiarów konfliktu duchowego i w tej to chwili, przy akompanjamencie rozszalałej burzy pragnień sprzecznych, pan Marceli Knopf powiedział:

— Sprobuję.

A smutny uśmiech tłumaczył stan duszy pana Marcelego Knopfa.

Położył się do łóżka, myśląc o sile, o woli, o potędze silnych, o sile potężnych, i szarpany myślami sprzecznemi długo nie mógł zasnąć. Nie dziw więc, że nazajutrz daremnie do drzwi jego pukała stara Agnieszka, stosując się do paradoksalnego życzenia jej pana.

Obudził się o półgodziny później niż zwykle i westchnął:

— Nie, nie mogę!

Następnego rana Agnieszka tak długo kołatała, aż senny głos pana Marcelego obwieścił staruszce, że skutek jej zabiegów przedstawia się poważnie.

Pan Marceli uniósł się na łóżku.

— Więc mam wstać? I poco? Czyż warto przerwać sen błogi, aby dłużej niż zwykle patrzeć dnia dzisiejszego na nudny i głupi Sulejów, na nudny i głupi świat? Mam być silny — i poco mi siła? Gdybym był rycerzem z zamku warownego, co na bój spieszy, co do kochanki dąży....

Bój, zamek, kochanka tak ukołysały pana Marcelego Knopfa, że zasnął twardo.

Postanowił jednak być silnym.

Po długich walkach i wielokrotnych wysiłkach daremnych musiało wreszcie nastąpić zwycięstwo.

— Muszę być silnym—przemówił do siebie, gdy Agnieszka do drzwi pukała.

— Muszę być silnym—powtórzył, wysadzając nogę z pod kołdry.

— Muszę być silnym —raz jeszcze powtórzył, drugi raz wysadzając nogę, która pod kołdrę powróciła.

— Muszę być silnym — powtarzał, stając przed łóżkiem, odsuwając storę, zlewając się zimną wodą, kładąc na siebie każdą z kolei część ubrania.

Pan Marceli Knopf uczuł nareszcie, że jest silny, bardzo silny. Zadowolony ze swej siły, znalazł się w przedpokoju, szczęśliwy ujrzał sień, upojony urokiem siły wyszedł na ulicę.

Poranek lipcowy roztaczał całą swą krasę. Promienie słońca radośnie witane przez czyste poranne powietrze, jakby z wdzięczności za to pełne wesela przyjęcie, cudnemi barwy oświecały pstre domostwa miasteczka i przejasna tęcza zdawała się bić z masy murów z fantazją wymalowanych. Promienie wesoło odbijały się od ścian domów, od wieży kościelnej, od sukman włościan, co zjechali na rynek.

I w promieniach jaśniał cały pan Marceli Knopf, silny, odrodzony pan Marceli Knopf.

Poszedł dalej. Minął sklep swego cyrulika, który we drzwiach stał i o mało nie spadł z trzech idealnie krzywych schodków na widok pana Marcelego Knopfa:

— A to pan dobrodziej wcześnie wstał!

Niemniej zdziwił się spotkany o parę kroków dalej pan Leon Lepszewicz, pomocnik rejenta, dobry znajomy pana Marcelego (bardzo inteligenty człowiek; o tej porze zwykle chodził do kąpieli rzecznej).

Co parę kroków nowe spotkanie i nowe zdziwienie. Pan Marceli myślał:

— Czy wy wiecie, co znaczy przezwyciężyć się, co znaczy siła?

A ludzie dziwili się, dziwiła się ulica, dziwiły parkany i dziwiły drzewa, ciekawie z za nich wyglądając na pana Marcelego Knopfa.

Wyszedł za miasto — a zdziwienie nie ustawało. Dziwiła się szosa równa i lipy przyboczne. Zboże aż pokładało się ze zdziwienia.

I to nie jest figurą literacką z mojej strony ani dziełem imaginacji pana Marcelego Knopfa: słońce naprawdę zaświeciło jaśniej.

Natura cała witała zwycięzcę samego siebie— pana Marcelego Knopfa, co potrafił przemódz się - i wstać wcześnie.

A ja mieszkałem wtedy pod Wilnem, nie znałem pana Marcelego Knopfa i nic o tem wszystkiem nie wiedziałem...

Jan Mir. Poz.

Z Cesarstwa.

W Petersburgu zmarł jeden ze znakomitych malarzy rosyjskich *A. I. Kuindżi*. Nazwisko to w 7-mym dziesiątku lat ubiegłego stulecia było hasłem przedstawicieli nowej, budzącej się do życia sztuki. Zarzucano Kuindżi z obozu wrogiego szarlatanerję, podejrzewano go o to, że... obrazy swoje oświetla ze strony odwrotnej, osiągnięto wreszcie usunięcie się Kuindżi na głuchą prowincję. Po reformie w Akademji Petersburskiej, przeprowadzonej przez I. I. Tołstoja, Kuindżi powołany zostaje na profesora. Ubóstwiany wprost przez młodzież, musi jednak ustąpić z akademji, „wygryziony" przez swoich przeciwników. Po raz ostatni znów nazwisko Kuindżi stało się głośne, gdy założono Towarzystwo jego imienia, a on ofiarował 100,000 rb. na nagrody za obrazy, wystawione na dorocznych wystawach Akademji. Zmarły zapisał pół miljona rubli na Towarzystwo Dobroczynności swego imienia i 10,000 rb. na cerkiew w Mariupolu.

Jako „pendant" do sprawy prezesa sądu okręgowego ekaterynburskiego, Czystiakowa, Najwyższy Trybunał Dyscyplinarny rozpatrywał *sprawę członka petrozawodzkiego Sądu Okręgowego, p. Mogilewa*. P. Mogilew w gaz. „Russkoje Znamja" ogłosił dwa artykuły, uwłaczające czci lekarza Meiera i rozsiewające o nim fałszywe pogłoski. Ponieważ sędzia śledczy uznał, iż słuszność twierdzeń, zawartych w pomienionych artykułach nie została przez p. Mogilewa niczem udowodniona, wytoczył on p. M. sprawę o oszczerstwo. Nad-prokurator Senatu na sesji Najwyższego Trybunału Dyscyplinarnego proponował zawieszenie p. M. w czynnościach. Najw. Trybunał Dyscyplinarny uznał jednak, iż przed ogłoszeniem artykułów w „Rus. Zn." pomiędzy Mogilewem i Meierem panowały wrogie stosunki na tle partyjno-politycznem, że do czasu wyjaśnienia charakteru tych stosunków nie można nic sądzić o sposobie działania Mogilewa, a przeto Najwyższy Trybunał Dyscyplinarny przyjmuje do wiadości wniosek p. Nad-prokuratora Senatu.

Nowy okręgowy intendent kijowski, Lebiedjew, rozesłał do wszystkich miejscowych redakcji zaproszenie na naradę celem omówienia spraw związanych z zakupem żywności. Jednocześnie p. Z. oświadcza, że wprowadza na wszystkich zebraniach i naradach zasadę jawności, oddaje do dyspozycji prasy wszelkie materjały znajdujące się w rozporządzeniu intendentury. W ten sposób wspólnie z prasą ma zamiar budować na gruzach dawnej intendentury.

W jaki sposób znajdujący się przy ministerjum spraw wewnętrznych zarząd do spraw kałmyckich *popiera rozwijającą się obecnie hodowlę owiec?* Włościanie gub. astrachańskiej hodują owce i to przeważnie hiszpańskie rasowe. Pastwiska dla owiec znajdują się na gruntach dzierżawionych przez włościan od zarządu do spraw kałmyckich, w którego skład wchodzą rosyjscy urzędnicy. Otóż, zarząd ten, widząc względny dobrobyt włościan, podniósł obecnie czynsz za dzierżawę pastwiska z 40 kop. płaconych dotychczas za głowę hiszpańskiej owcy do 1 rub. 44 kop.

Włościanie dowodzą, że przy tych cenach grozi im zupełna ruina, a hodowla — rezultat długoletnich zabiegań i trudów—upadnie zupełnie. Obecnie bawią w Petersburgu tak zwani „chodoki", którzy mają poczynić odpowiednie kroki u władz.

Szczęśliwy posiadacz prawa zamieszkiwania we wszystkich miejscowościach Cesarstwa, żyd W. przyjechał do młyna „Towarzystwa czeremchowskiego" jako zarządzający. Policja jednak oświadczyła, że jest kwestją sporną, czy osoba, mająca prawo zamieszkiwania we wszystkich miejscowościach Cesarstwa, ma prawo zamieszkiwania w gubernji Irkuckiej. Dopiero gubernator irkucki rozwiał wszystkie wątptliwości miejscowej policji, tyczące się pytania, czy Irkucka gub. jest częścią Cesarstwa, czy też nie.

Z Archangielska donoszą, że Hallstrem, kierujący robotami archeologicznemi we wsi Zimnia Zołotica, odkrył bardzo cenne zabytki, a mianowicie: figury kamienne wyobrażające niedźwiedzia, jelenia i konia morskiego.

Gen. Dumbadze jadąc do Kisłowodzka oświadczył, że do Jałty już nie wróci. Ma być mianowany komendantem jednej z twierdz granicy zachodniej lub też otrzyma urząd przy dworze.

Wybory do Charkowskiej Rady miejskiej, nie bacząc na zupełną porażkę „prawdziwych Rosjan" (przepadł i poseł Wiazygin) zostały zatwierdzone przez urząd gubernjalny do spraw ziemskich i miejskich. Czarnosecińcy wyzyskiwali wszystkie swe wpływy, lecz bez powodzenia. Jest to jeden z pierwszych wypadków zatwierdzenia wyborów, których rezultatem jest większość nie reakcyjna.

Joten.

KRONIKA.

— Sprawa związków i towarzystw. W dniu 27 lipca odbyło się posiedzenie komisji gubernjalnej do spraw towarzystw i związków pod przewodnictwem gubernatora warszawskiego. Posiedzenie to zwołane zostało w myśl znanego cyrkularza o towarzystwach „inorodców" na kresach, polecającego rozciągnąć baczny dozór nad działalnością związkową. Władze warszawskie zajęły się wykonaniem postanowień ministerjalnych i w tym celu zażądano od komisji zamknięcia kilku towarzystw, między innemi i towarzystwa opieki nad zabytkami historycznemi. Na razie komisja nie uczyniła zadość temu ostatniemu żądaniu, postanowiła natomiast wezwać zarząd tow. do złożenia pewnych wyjaśnień. Żądano również zamknięcia towarzystwa przemysłu graficznego; jednak zaopinjowanie inspektora fabrycznego, że działalność tego towarzystwa nie jest szkodliwa w regulowaniu spraw zawodowych, wpłynęło na odmowną decyzję komisji. Natomiast uchwalono zamknąć związek zawodowy drukarzy, zecerów i pokrewnych im fachów. Związkowi zarzucono „pogwałcenie ustawy i prowadzenie gry w karty". Zalegalizowano tylko jedno towarzystwo, mianowicie żydowskie towarzystwo pomocy posagowej dla biednych. Odmówiono zaś legalizacji kasy strażaków i warszawskiego kółka rolniczego.

— Zarząd główny więzień zawiadomił gubernatorów w Królestwie Polskiem, że odtąd na mocy rozporządzenia ministra sprawiedliwości, małoletnich aresztowanych przez policję wskutek braku dowodów legitymacyjnych, do czasu odszukauia ich rodziców, opiekunów, krewnych lub ustalenia miejsca zamieszkania, nie należy umieszczać w aresztach policyjnych lub więzieniach, lecz w zakładach dobroczynnych.

— Kara prasowa. Z rozporządzenia generał-gubernatora warszawskiego redakcja „Gońca" skazana została na zapłacenie 200 rb. kary za wydrukowanie w № 306 wiadomości p. t. „Uczczenie 200-lecie pułku Keksholmskiego."

— Zamknięcie pisma. Tygodnik „Trybuna" z postanowienia warszawskiej Izby sądowej został zamknięty.

— Zamknięcie Stow. Lekarzy Polskich. W dn. 1 sierpnia stowarzyszenie to z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych zostało zamknięte. Rozporządzenie nastąpiło wskutek podanego przez senatora Neudhardta do ministra zawiadomienia, że stowarzyszenie prowadzi książki i korespondencję w języku polskim. Pozatem jako powody zamknięcia podają istnienie przy Stow. sądu polubownego, ustanawiającego nawet kary za wykroczenia i t. d. Stow. Lekarzy Polskich istniało od lat 4-ch, liczyło przeszło 400 członków i naogół rozwijało się pomyślnie.

— Według urzędowych danych, w korpusie żandarmów obecnie pełni służbę 870 oficerów, w tem 25 generałów, 329 sztab-oficerów, którzy zajęci są w 75 gubernjalnych i miejskich zarządach żandarmerji, w 27 policyjnych zarządach żandarmerji kolejowej, oraz w trzech etatowych wydziałach ochrony, mianowicie w Moskwie, Petersburgu, i w Warszawie. Wszystkie pozostałe wydziały ochrony nie mają dotychczas zatwierdzonych etatów przez Izby i istnieją na mocy rozporządzenia szefa żandarmów.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Panu K. W. w Wilnie. Specjalnego katalogu czy spisu wydawnictw wolnej myśli w polskim języku niema. Natomiast w poznaniu odnośnej literatury z lat ostatnich wielce pomocną może być Panu dziesiętnica „Myśl Niepodległa", w którem to piśmie od czasu powstania znajdzie Pan we wszystkich prawie numerach kłótkie oceny i sprawozdania z dzieł i broszur traktujących rozwój i zadania wolnej myśli. U nas do najnowszych dzieł wolnej myśli zaliczyć należy prace Andrzeja Niemojewskiego (redakcja „Myśli Niepodległej", Warszawa, Marszałkowska 48) i Ignacego Radlińskiego. Główne deklaracje zasad wolnej myśli przyjęte przez międzynarodowe zjazdy wolnomyślicieli znajdzie Pan w książce Józefa Wasercuga p. t. „Wolna Myśl", (Warszawa 1907, skład główny w Księgarni Powszechnej). Dzieła autorów, których Pan wymienia, ściśle mówiąc, do literatury wolnej myśli nie należą, jako jednak dzieła naukowe, już przez to samo, stanowią podstawę wolnomyślicielstwa.

W Pracowni Naukowej Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego dnia 1 Października r. b. rozpoczynają się odczyty, połączone z pokazami i zajęciami praktycznemi:

1. **Prof. J. Sosnowski.** Zasady energetyki organizmów (7 wykładów).
2. **Dr. Anast. Landau.** Choroby przemiany materji (8 wykładów).
3. **Dr. Anast. Landau.** Choroby krwi (4 wykłady i zajęcia prakt.).

4-5 **Dr. A. Sokołowski i Dr. B. Dębiński.** Podstawowe metody rozpoznawania i leczenia chorób dróg oddechowych.

6. **Dr. F. Erbrich.** O najnowszych postępach rino— i laringologji ze szczególnem uwzględnieniem broncho— i ezofagoskopji (wykłady teoretyczne i zajęcia praktyczne).

7-9. **Prof. Dr. Kryński.** 7) Operacje typowe i anatomja chirurg. na zwłokach (6 g.). 8) Chirurgja ambulatory; na (10 godzin). 9) Postępy w djagjost. chirurg. (cystokopia) (6 g.).

10. **Dr. M. Rejchman.** Metody rozpoznawania i leczenia chorób narządu trawienia (8 wykładów i zajęcia praktyczne).
11. **Dr. F. Malinowski.** Nowe a stare metody rozpoznawania i leczenia chorób skórnych i wenerycznych (8 wykładów i zajęcia praktyczne).
12. **Dr. Cz. Barszczewski.** Kurs praktycznej rądjologji lekarskiej z pokazami radiogramów z kazuistyki chirurgicznej i wewnętrznej.
13. **Dr. Sf. Serkowski.** Bakterjologja lekarska (12 wykładów z zajęciami praktyczn.).
14. **Dr. St. Serkowski.** Zajęcia praktyczne laboratoryjne a) analizy krwi chemiczne, fizyczne i bakterjologiczne, b) analizy moczu, c) badania sanitarne.

Od Administracji.

Ogłoszenia do

SPOŁECZEŃSTWA

przyjmuje się

w administracji ul. Wielka № 1-a telef. 97-83.
ul. Krucza „ 12 m. 15 „ 66-01.
ul. Długa „ 9 m. 18 „ 94-01.

Redaktor i wydawca **Dr. J. M. Muszkowski.** Drukarnia Artystyczna K. Kopytowskiego i S-ki Nowy-Swiat 47.